Maciej Kijowski
Wspomnienia z lat studiów (1988-1990)

Kiedy wiosną 1988 r. wygrałem ogólnopolski finał I Olimpiady Wiedzy o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jedną z przyznanych mi nagród stało się prawo wolnego wstępu na studia w Akademii Nauk Społecznych. Jakkolwiek dzięki zdobyciu dwa lata wcześniej I miejsca w X Ogólnopolskiej Olimpiadzie Artystycznej (sekcja muzyki) miałem już zagwarantowany indeks na muzykologię lub kulturoznawstwo, wybrałem studia dzienne w ANS, do których przystąpiłem jesienią tego samego roku. W centralnym miejscu głównego budynku uczelni, na półpiętrze między parterem a I piętrem, dokładnie naprzeciw głównego wejścia widniał cytat z Lenina: „Komunistą można stać się tylko wtedy, gdy wzbogaci się swoją wiedzę znajomością całego dorobku, jaki stworzyła ludzkość", nie wiem, czy później skuty czy zasłonięty. Jeden z kolegów całkiem przytomnie zauważył, że gdyby zastąpić słowo „komunistą" wyrazem „człowiekiem", inskrypcja ta byłaby nie mniej aktualna. Może tablica wisiałaby po tej zmianie do dzisiaj, a pisowski premier Morawiecki nie musiałby co dzień rano otrząsać się z obrzydzenia, że idąc do pracy tak bliski jest ściany, na której widniały słowa rewolucjonisty?
Na moim roczniku filozofię (zrazu marksistowską, o czym niżej) wykładali kolejno profesorowie Jan Kurowicki i Jarosław Ładosz. Pierwszy, z nienagannie przystrzyżoną bródką, był bez wątpienia obiektem westchnień studentek, ważniejsze jednak jest to, co i jak mówił – nawet wtedy, gdy wprowadził audytorium w osłupienie, mówiąc o możliwie nieskończonej liczbie światów, w których żyjemy, i dywagując nad tym, czy sny każdego człowieka nie są jego realnym życiem i światem jemu właściwym. Kto miał szczęście słuchać profesora, wie, co mam na myśli. Nie mniej frapujące były wykłady Ładosza, a jeszcze bardziej składany przed nim egzamin, o którym krążyły legendy. O ile się nie mylę, wchodziliśmy po dwóch, nie pamiętam natomiast, na ile pytań odpowiadaliśmy. Zdawałem 12 lutego 1990 r. razem z Witoldem N., oryginałem co do tuszy i światopoglądu (działaczem Unii Młodzieży Demokratycznej i bodaj zielonoświątkowcem). Profesor zacytował mu, wskazując na autorkę tekstu, fragment piosenki Skaldów („Życie jest formą istnienia białka, / Ale w kominie coś czasem załka"), na co Witek odpowiedział, że „nie zna Osieckiej": czy zdał i na ile, nie wiem. Ja zdałem i to na czwórkę, a mówiłem na pewno o marksistowskiej teorii odbicia.
O wykładach z geografii społeczno-gospodarczej (prof. Irena Fierla) czy historii międzynarodowego (prof. Jerzy Pawłowicz, doc. Tadeusz Godlewski) i polskiego (doc. Henryk Cimek) ruchu robotniczego mogę śmiało wypowiadać się dziś w samych superlatywach. Podobnie o ekonomii politycznej – socjalizmu (doc. Ryszard Zabrzewski) i kapitalizmu (doc. Małgorzata Dąbrowa-Szefler, doc. Witold Sierpiński); pamiętam charakterystyczny głos i nienaganną elegancję Sierpińskiego, tudzież akcentowanie przezeń znaczenia złota, kamieni szlachetnych i innych błyskotek, „które bardzo lubią kobiety". Kapitalne były zajęcia z socjologii – wykłady dr. Jerzego Kamienieckiego i ćwiczenia dr. Krzysztofa Kostyrko, byłego kierownika Wydziału Kultury KC PZPR, świeżo odwołanego z ambasady w Belgradzie, gdzie radcował przez ponad 4 lata. Utkwiła mi też w pamięci historia Polski na tle historii powszechnej – barwne wykłady doc. Kazimierza Kika (i egzamin zdany u niego – jedno pytanie o BBWR – na głównej klatce schodowej), tudzież świetne ćwiczenia mgr. Bronisława Szozdy, niegdysiejszego I sekretarza KMG PZPR w Piasecznie. Wspomniana już ekonomia polityczna socjalizmu zapisała się w mojej pamięci głównie z racji ćwiczeń u bardzo wymagającego dr. Władysława

Kulczyckiego, jeszcze wtedy brodatego, dziś dygnitarza polskiej bankowości. Pamiętam, że raz zajęcia z Kulczyckim odbyły się w bufecie na najniższej kondygnacji gmachu (do dziś pomnę smak tamtejszej sałatki jarzynowej) i w przypływie wielkopańskiej gościnności doktor zapragnął podjąć wszystkich studentów kawą – z chęcią podjąłem się roli pośrednika między nim a obsługą (a nuż zacznie pytać…), od której dowiedziałem się, że proponuje jedynie „kawę luzem" (zabrakło filiżanek), przeto z uczty wyszły nici. Jeszcze więcej strachu napędził mi obecny budowlany deweloper dr Jacek Zabojszcz, prowadząc elementy statystyki i matematyki, zdawałem je bowiem – do szczęśliwego finału – aż siedem razy. U dr. Zabojszcza wymęczyłem trójkę, nie pamiętam natomiast, dlaczego dr Marian (Marek?) Szczepański wpisał mi z metodologii i metodyki uczenia się dostateczny minus. Czyżbym już wówczas wierny był szekspirowskiej maksymie „Jestem za stary, by się uczyć"? Uczyłem się jednak, w tym języków obcych na świetnie prowadzonych lektoratach – pamiętam znakomicie wyposażone laboratoria językowe, nie pamiętam natomiast zajęć z WF (poza tym, że jeździło się na nie wieczorami daleko na Ursynów, do obiektów SGGW – AR).

Bronisław Treger (naówczas mgr, dziś dr hab.) prowadził w I semestrze wykład i ćwiczenia (zwane w ANS „seminarium") z logiki. Z uwagi na nikłość pedagogicznego talentu czynił to w sposób niewiarygodnie nudny i monotonny. Wspominał onegdaj, czym różni się bodaj uczenie od szkolenia, a za przykład tego ostatniego postawił piłowanie. Odtąd nużący przedmiot Tregera miast logiki zwany był przez nas niezmiennie „piłowaniem", co miało wiele wspólnego z rzeczywistą zawartością logiki w jego interpretacji. W semestrach II-III Treger miał z nami również seminarium z filozofii – jako że była ona bez wątpienia równie ciekawa, co wcześniejsze „piłowanie", nie pamiętam z niej zupełnie nic. Pamiętam natomiast, że w przerwie któregoś seminarium – nie pomnę tylko z jakiego przedmiotu – do wypisanych wcześniej przez Tregera na tablicy nazwisk Webera i jeszcze jakichś 2 mędrców dopisałem (z racji sobie tylko znanych kryteriów) Tadeusza Witolda Młyńczaka i Stefana Zacha: po przerwie Treger powrócił do sali, spojrzał badawczo na tablicę i rzekł: „Webera [i jeszcze tych 2 innych – przyp. M.K.] kojarzę, ale Młyńczaka i Zacha to ja nie znam".

Historię myśli społecznej wykładała niezmiennie pogodna doc. Barbara Fijałkowska; przedstawiając się na pierwszym wykładzie, zwracała uwagę, by w indeksie nie wpisywać jej jako „Fiałkowskiej", albowiem nie lubi kogoś o tym nazwisku. Doc. Fijałkowska była prodziekanem a również wspomniany doc. Godlewski – dziekanem Wydziału Nauk Społeczno-Politycznych; prodziekanem był w nim także doc. Andrzej Skrzypek, doświadczony znawca problematyki polsko-radzieckiej, szkoda, że dziś dostrzegający je z mocno odmiennej perspektywy, pozwalającej liczyć na spokojną emeryturę i dużo bliższej oczekiwaniom rządzącej ekipie. Podobnie błyskawicznej i bardzo rażącej dawnych przyjaciół transformacji doznał Kazimierz Kik; za ideową reorientację i przypływ niepowstrzymanej a (bez?)interesownej miłości do PiS-u nagrodzono go w 2018 r. oczekiwaną od lat belwederską profesurą, choć – jak opowiadał mi jeden z profesorów, również belwederskich – nie spełnia wymaganych ustawą kryteriów.

Nie zapomnę nigdy ponadobowiązkowych zajęć z historii Polski przedrozbiorowej prowadzonych dla kilkuosobowej grupki zafascynowanych tematem studentów przez wybitnego znawcę przedmiotu, rektora ANS prof. Jaremę Maciszewskiego, zarazem członka KC PZPR a onegdaj kierownika jego Wydziału Nauki i Oświaty. Jako że dawny gmach uczelni jest dziś siedzibą premiera i jego świty, wypada mi pozazdrościć temu prominentowi, któremu przypadł dawny rektorski gabinet: oby wątły intelekt pisowskiego aparatczyka wzbogaciło wspomnienie po wielkim polskim historyku. Podobne życzenie kieruję do urzędasa zajmującego dziś pokój

prorektora ANS prof. Eugeniusza Mazurkiewicza: jako członek Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Koreańskiej odwiedzałem w nim profesora, wiceprezesa ZG TPPK, wiodąc z nim – nie bacząc na ponad 40-letnią różnicę wieku – ciekawe dysputy nie tylko o sprawach koreańskich ale i o latach, w których kierował Wydziałem Rolnym KC. Jeśli dobrze pamiętam, prorektorami ANS byli wtedy również profesorowie Adolf Dobieszewski, Wiesław Iskra i Jerzy Kuciński, tych nie miałem jednak okazji poznać.

Wbrew powszechnemu przekonaniu od studentów ANS nie żądano przynależności do PZPR. Tak władze uczelni, jak i poszczególni jej wykładowcy, nie tylko tolerowali, ale akceptowali światopoglądowy i organizacyjny pluralizm – w latach 1988-1990 jakże naturalny i oczywisty. W ciągu niemal 2 lata studiów na Bagateli jedynym nauczycielem akademickim zwracającym się do studentów per „wy" i „towarzyszu" była dr Helena Ciążela. Rychło przeorientowała się ideologicznie, znajdując ujście dla swych zainteresowań w szkolnictwie katolickim; nie wiem, czy zajęcia rozpoczynała tam od paciorka. Nie wiem też, czy inni neofici et consortes brali u niej korepetycje ze służalczości.

Rok akademicki 1989/1990 rozpoczęto w ANS w atmosferze niepewności własnego bytu. Na nic się zdały próby przypodobania się nowej władzy, choćby tak symboliczne jak umieszczenie wewnątrz okrągłej uczelnianej pieczęci ukoronowanego a nieistniejącego w niej dotąd godła państwowego. Tyleż śmieszne co smutne były zmiany nazw przedmiotów: filozofię marksistowską zastąpiła filozofia a naukowy socjalizm (z wyśmienitym wykładem doc. Ryszarda Palacza) socjalizm – teoria i praktyka w mniej barwnym wydaniu doc. Stefana Dziabały. Wywołane niszczycielskim zapałem premiera Tadeusza Mazowieckiego rozpędzenie Akademii na cztery wiatry fatalnie odbiło się nie tylko na jej pracownikach i studentach (samego siebie nie wyłączam), ale także na nieruchomym i ruchomym mieniu, w tym wyśmienitym księgozbiorze. Nadal na portalach aukcyjnych kupić można książki z katalogu Biblioteki ANS, sam kupiłem też dwie lub trzy w antykwariacie w Koszalinie, a do tego, że innych kilku świadomie nie zdążyłem w 1990 r. oddać, dziś po raz pierwszy się przyznaję i liczę na łagodny wymiar kary. Liczę też na to, że środowisko wyższego szkolnictwa niepaństwowego (sam do niego należę) przyzna wreszcie, że pierwsza uczelnia tego rodzaju powstała nie w roku 1991 lecz znacznie wcześniej, boć przecież partyjne Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i ANS były wyższymi szkołami niepaństwowymi na zasadach analogicznych do Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Internatowi ANS przy ul. Belwederskiej 26/30 w Warszawie (52˚12'27" N, 21˚1'51" E, gdyby ktoś miał wątpliwości) też winien jestem kilka uwag. Bursa jest klasycznym przykładem funkcjonalnej i reprezentacyjnej zarazem architektury budynków administracji publicznej. Znawcy przedmiotu twierdzą, że to nie tyle socrealizm lecz wysmakowana, nieco dekoracyjna architektura modernizmu z delikatnymi akcentami biedermeieru (!). Powstał w latach 1953-1954 według projektu architektów tak znakomitych jak Wacław Kłyszewski, Jerzy Mokrzyński i Eugeniusz Wierzbicki (tym samym Trzem Tygrysom zawdzięczamy choćby Dom Partii, pierwszego Mistera Warszawy przy ul. Kredytowej 8 czy filharmonię w moim rodzinnym Rzeszowie). Służy celom hotelowym i gastronomicznym do dziś (obecnie jako uniwersytecka „Hera") i nadal zdarza mi się tam nocować – zachwycają mnie wciąż detale architektoniczne (w tym sztukaterie będące dziełem mistrzów z międzywojennym jeszcze doświadczeniem), klarowny układ elewacji i wnętrza, a nade wszystko dostrzegalne lekko wklęsłe wygięcie fasady, skutkujące tym, że rozpoczynając przechadzkę jednym z głównych korytarzy nie sposób dostrzec jego końca. W większości pokoi nie było i nie ma łazienek (były i są jedynie w ulokowanym na linii północ-południe nowym pawilonie, bodaj z roku 1975). Układ pomieszczeń pierwotnego założenia (w tym ciasne aneksy kuchenne), stolarka drzwiowa (także okienka nad wejściem do

pokoju), wreszcie podłogi i część mebli (te również w części powstałej później) zachowały się do dzisiaj i stanowią wyposażenie „Hery". Oryginalne jest też piękne czarne metalowe okratowanie chroniące główne drzwi wejściowe i okna parteru.
Na prawo od wejścia mieściła się naprawdę dobra stołówka, w której szefem kuchni był – jeśli dobrze pamiętam – mistrz Henryk Szybiński. Również na parterze, tam gdzie obecnie działa kawiarnia „Hygge" (przedtem restauracje „Czarownica", „Stary młynek", „Groch z kapustą"), była swego rodzaju świetlica, pomieszczenie klubowe i sala telewizyjna w jednym, służące a to spotkaniu w studenckim gronie, a to podejmowaniu przez nas działaczy ruchu robotniczego (pamiętam bardzo ciekawą dyskusję z Franciszkiem Szlachcicem). W nowym pawilonie, na końcu chyba II piętra przyjmował lekarz – najpierw zmarły już chyba jesienią 1989 r. Henryk Igalson (znany, jeśli dobrze pamiętam, z udziału w Powstaniu Warszawskim), po nim Weronika Radosiewicz. Również w tym skrzydle, na parterze i obu piętrach mieściły się pokoje do cichej nauki, zwane pieszczotliwie „cichaczami". Zdaje się, że o nauce, a tym bardziej cichej, nie było w nich mowy.
Chyba na każdym piętrze starszej części bursy wisiały na ścianie korytarza (blisko klatki schodowej) automaty telefoniczne na żetony – już nie na monety a jeszcze nie na karty. Telefonów wewnętrznych w pokojach nie było, przeto osoby z zewnątrz telefonowały do recepcji, która za pomocą radiofonii przewodowej („kołchoźniki" na ścianach pokoi) gromko obwieszczała, kogo zaprasza do rozmównicy (bodaj 2 kabiny) ulokowanej tuż po lewej stronie od wejścia do budynku. Komunikat „Pani Szałkowska proszona do telefonu" śnił mi się po nocach, gdyż do rzeczonej studentki dzwoniono co najmniej kilka razy dziennie.
Położenie bursy było wyśmienite: tuż obok Łazienki Królewskie, którymi lubiłem wędrować do i z Akademii, a naprzeciwko Powszechny Dom Książki „Uniwersus" – największa na owe czasy i najwszechstronniejsza księgarnia w kraju. Z oficjalnym potępieniem socjalizmu w „wolnej" Polsce przyszło i zniszczenie „Uniwersusu". Jeśli za świetnie zaopatrzony dział książek radzieckich, to przypomnę, że można było w nim nabyć w oryginale nie tylko Lenina, ale i Bunina.

***

Nie wszystko w Akademii Nauk Społecznych było tak piękne, jak mogłoby się wydawać z moich sentymentalnych wspomnień. Pierworodnym grzechem tej uczelni było nawiązywanie do tradycji szkolnictwa partyjnego jedynie Polskiej Partii Robotniczej i PZPR, przy jeśli nie pomijaniu, to marginalizowaniu tej sfery działalności w zjednoczonej wszakże z PPR, Polskiej Partii Socjalistycznej. Przecież Szkoła Centralna PPS istniała jeszcze przed I wojną światową, by tuż po niej kontynuować działalność pod kierownictwem (zgadzam się, kontrowersyjnym) Mariana Malinowskiego „Wojtka". A powstała w 1946 r. Centralna Szkoła Partyjna przy Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS? A nadzorowane przez nią wojewódzkie szkoły partyjne PPS, w tym bardzo znana szczecińska z kierownikiem Mieczysławem Gordonem? Pamiętać trzeba też i o tym, że przez cały okres swojej działalności (1984-1990) uczelnia nosiła nazwę „Akademia Nauk Społecznych", co wynika wprost z ustawy z 6 kwietnia 1984 r. o utworzeniu Akademii Nauk Społecznych (Dz. U. z 1984 r. nr 21, poz. 99). Jako że art. 4 ust. 1 ustawy oddawał Komitetowi Centralnemu PZPR nadzór nad uczelnią, zdarzało się – ale wbrew ustawie – że w innych aktach prawnych pojawiała się jej wydłużona nazwa, „Akademia Nauk Społecznych PZPR w Warszawie", jak w pkt 47 uchwały Rady Państwa z 9 czerwca 1989 r. w sprawie nadania orderów społecznym zbiorowościom (M. P. z 1989 r. nr 22, poz. 165). W

żadnym wypadku nie piszę o tym dlatego, by wypierać się swojej przynależności do PZPR, lecz po to, by przywołać oczywiste fakty, by wskazać za Leopoldem von Ranke, wie es eigentlich gewesen.
Nie mogę pojąć, jak wychowankowie ANS, także z mojego rocznika, mogą dziś co najmniej przemilczać fakt studiowania w tym miejscu, jakkolwiek ciągłe wybielanie własnych życiorysów (znane mi przede wszystkim w środowisku naukowym) stało się plagą naszych czasów, czasów opanowanych przez strach. Ot, rzeczony student N., z którym dzieliłem trzeci i ostatni pokój zajmowany przeze mnie w bursie, wypisuje o sobie w LinkedIn tak niestworzone rzeczy, że jego bogatym życiorysem można by obdzielić co najmniej kilka osób: pisze o wszystkim, byle nie o studiach w ANS. Własnego cienia boi się też Grzegorz L., onegdaj oficer Służby Więziennej (usunięty za brak nadzoru nad podwładnym, „dzięki" pomocy którego Katarzyna P., jedna z głównych oskarżonych w procesie Amber Gold, zaszła w ciążę), a od lat zgierski prominent: a to starosta, a to wiceprezydent, a to radny z Klubu… Prawa i Sprawiedliwości. Dzisiejszy doktor historii kościoła (!) L., zwany na studiach „basiorem" nie grzeszył naówczas inteligencją, nie sądziłem jednak, że odda się bez reszty na służbę reżimowi. Nie wiem, co na to jego żona a moja koleżanka ze studiów w ANS Lidia S. z Leżajska, której pomagałem rozepchać i rozchodzić świeżo kupione szpilki tuż przed wyjściem na jakąś imprezę. Wyrzekanie się własnego życiorysu nie tylko równoznaczne jest z obawą przed nieuchronną dekonspiracją, ale oznacza przede wszystkim brak szacunku dla samego siebie.
Wstydzę się tych, którzy wstydzą się własnych studiów w ANS. I może ktoś uwierzyć, może nie wierzyć, że w pierwszym dniu moich studiów, w dniu zakwaterowania w internacie usłyszałem przez radio w swoim pokoju piosenkę Bobby'ego McFerrina Don't worry, be happy. I naprawdę I didn't worry, I was happy: to były piękne, szczęśliwe lata.

***Maciej Kijowski**, dr nauk prawnych, adiunkt w Wyższej Szkole Humanistyczno-Przyrodniczej Studium Generale Sandomiriense w Sandomierzu*